Nr. 38. **Rok 14.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, *dnia 18. Września 1847.*

Kilkanaście rysunków z 16. wieku, odnoszących się do ubiorów w Polsce (ciąg dalszy). — Skarb ukryty. — Wiersz: Do F. S. — Pamiętniki Hansa, Szlązaka, z XVI wieku (ciąg dalszy). — Nowiny literackie. — Text do nót.



Pediscequus Polonus.

Kilkanaście rysunków z 16go wieku, odnoszących się do ubiorów w Polsce.

(Ciąg dalszy.)

Po tych zbiorach idą zaraz najliczniejsze i najrozmaitsze kostiumy różnych narodów, wydane w podłużnéj 8ce u Abrahama de Bruyn w Antwerpii r. 1581. Są to wcale piękne ryciny na miedzi; znaleść tam można oprócz Wołochów, Węgrów, Moskali, jakich w dawniejszych kolekcyach nie było, liczniejsze ubiory Polskie i Ruskie. Z tamtąd wyjąłem dołączone tu wyobrażenie sług, czyli ciur na stronie 297, ślachcica Polskiego i zapewne rotmistrza, którego ochrzczono trybunem lub centuriorem na stronie 301, chorążego i dwóch grajków Ruskich, jednego z piszczałką, drugiego bębenistę karczemnego, które będą w następnym numerze. — To tylko pocieszne znalazłem, że artysta nie szczędził czaplich piór, któremi ustroił czapki tak ślachcica, jak prostych grajków. Wychodzi to na ową czapeczkę ułańską, która koniecznie musi zdobić głowę Polki w wyobraźni artysty Francuskiego.

(Dokończenie nastąpi.)

Skarb ukryty.

(Baśń ze zbioru *Romana Z.*)

Jan parobczak był to zuch,
Śmiał się ze strachów i upiorów,
A topielców, czartów, zmorów
Bał się — gdyby pająk much...

A. Niewiarowski.

Możny jeden, ale zły i łakomy ślachcic, choć bez pracy wziął dziedzictwem liczne a zyskowne włości, i skarbiec w złoto, w srebro bogaty, nie przestając wszelakoż na tém co posiadał, całe życie łożył tylko na pomnożenie zbiorów, — nie dbając w swém zaślepieniu, czyli godziwie, albo niegodziwie. Więc nie dość, że przez wiek wszystek nie wsparł biednego w potrzebie, chociażby kawałkiem chleba, — ale na podobieństwo upiora, co się człowieczą krwią tuczy, wyciskał z ludzi ostatnie mienie i krew ich.

Ludzie nieszczęśni we włościach jego, pracą i głodem wycieńczeni srodze, podobniejsi byli morom, niżeli żywym stworzeniom; pomimo to przecie, okrutny pan coraz to srożéj ich gnębił. — Lud marzł w zimie w lichych chatach, przez pół z poszycia odartych, bez iskierki ognia w piecu — bo skąpy ślachcic z niezmiernych kniei nie dał wziąć gałązki drwa; na przednówku marł z puchliny, żołędziowego najadłszy się chleba; w lecie ginął w niemocy od znoju i skwarów; w jesień z pijaństwa, — przepijając w arendzie całoroczną pracę: bo pan za wymuszoną gwałtem robociznę zawdy kartkami na gorzałkę płacił. A tymczasem skarby skąpca rosły z każdym dniem widomie. — Darmo mu ludzie pobożni, darmo bogobojna żona, przypominali, by się upamiętał, — grożąc za ludzką krzywdę sprawiedliwą karą Bożą; on śmiał się z gróźb i przestróg, a żonie pogroził pięścią, by mu w sprawy nie wglądała.

Jako zaś łakomi ludzie nikomu wierzyć nie radzi, ale własnego cienia ustrzedzby się chcieli, — tak też i ten oto chciwiec, trwożliwy o swe pieniądze, wynalazłszy w zwaliskach starego lamusu opustoszałe piwnice, poprzenosił do nich jednéj nocy wszystkie skarby tajemnie. — Nazajutrz — było li to dopuszczenie Boże, czy że się okrutnik dźwigając noc całą oberwał? legł chory w łożu; a niechcąc wołać ani lekarza, ani księdza, ażeby im nie zapłacić, skonał — klnąc w chwili śmierci niebu i ziemi. Że był ślachcic i bogaty, chociaż zmarł bez rozgrzeszenia, pochowano go jednak zawsią na smętarzu, w lochach pod starą kaplicą.

Alić w kilka dni po jego pogrzebie, ukazał się znak widomy, jako o pomstę do Boga woła krzywda biednych, — i jako dusza, co się za żywota w ziemskich utopiła dobrach, po śmierci odjąć się od nich nie mogąc, cierpi męki potępienia. Każdego dnia o północy — widywali wszyscy ludzie — umarły dziedzic wychodził z smętarza, śmiertelnym okryty całunem; a obszedłszy w koło gumna, znikał w sadzie po za dworem, — i aż nad samém dopiero świtaniem powracał nazad do grobu.

Z razu trwoga niesłychana ogarnęła gminę całą przed tak okropném zjawieniem: o zmroku już żadna żywa dusza nie śmiała zajrzyć do sadu, — a z nadchodzącą północą wszystko kryło się po chatach, i z drzeniem słuchało, ścisnąwszy się w kupę, ponurego owczarskich psów wycia, gdy mimo gumien szedł potępieniec. — Wszakże pomału — pomału, nawet

dzieci i kobiety oswoiły się ze strachem; a co śmielszych chłopaków wzięła piéc ciekawość, wyśledzić w sadzie upiora co robi? Uwziąwszy się więc, wypatrzyli rychło, że strach wszedłszy do sadu, kroczył do starego lamusu, i znikał w jego zwaliskach do świtu.

To gdy nazajutrz w karczmie rozpowiadały chłopaki, starzy odgadnęli zaraz, że pewnie na miejscu owém zmarły przechował pieniądze; szli zatém na dwór do pani, którą serdecznie kochali, radząc, żeby szukać kazała. Wyprawieni ze dwora słudzy szukali pilnie dzień cały, — napracowali się srodze, przerzucając stósy gruzów; — a w wieczór, nic nie znalazłszy, wrócili znużeni do domu.

Był zaś tam we dworze na ów czas parobek, imieniem Jan, — jedyny, czy do roboty, do wypitki i wybitki, — a zuch i zawadjaka, coby diabłu nie zszedł z drogi. Ten za dni kilka po marném szukaniu, przyszedł do pokoju pani, a pokłoniwszy się do kolan jéj, prosił, by mu pozwoliła na swą rękę szukać skarbu.

— „Pan Bóg z tobą miły Janku!“ — odpowiedziała mu wdowa: — „jeśli on ci dopomoże, ja dajęć wolność ku temu; a gdybyś za Jego wolą przenajświętszą co znalazł, podzielim się sprawiedliwie.“ —

W tenże więc dzień, kiedy zmierzchło dobrze, — a był wieczór dżdżysty i ciemny, — Jan szedł z rodzonym na smętarz. — Otwarli wrota kaplicy, — odemknęli ciężkie żelazne drzwi grobów, — i śmiały parobczak, skrzesawszy ognia, spuścił się do lochu, przykazawszy bratu wchód za sobą zawalić, — zamknąć na powrót kaplicę, — a we wsi nie powiadać o niczém nikomu.

Przy jasnym blasku smolnego łuczywa, znalazł wnet trumnę swego niegdy pana, świécącą między innemi świeżym złocistym galonem. Tuż obok niéj stała druga, z prostego dębowego drzewa, zdrowa jeszcze, jakby dziś spuszczona: Jan odćwiekował ją żywo, wyjął leżącego w niéj trupa, i zawlokłszy w kąt lochu, sam jego okrył się całunem, a potém legł cichutko w trumnie, wiekiem się przysłaniając. Nie długo leżał, a oto i północ przyszła. Potępieniec z okropnym poruszył się jękiem, — odrzucił wieko z łoskotem, — powstał: a blada posępna łuna, bijąca od jego trupiéj głowy, oświéciła cały loch. Jan, patrząc nań przez szparę, czuł jak mu zimne mrowie od wielkiego palca w nogach szło do głowy, i włosy dębem stawały; — lecz nie czas było namyślać się już: zebrał całą odwagę do serca, i odrzuciwszy wierzch z trumny, stanął przed swoim nieboszczykiem panem.

— „Kto tutaj?“ — podziemnym głosem odezwało się widmo:

— „Ja to, Jan Zmora, parobek twój panie.“ —

— „Po co tu przyszedłeś?“

— „Służyć ci, panie, po śmierci, — jakom ci służył za żywota.“ —

— „Żywyś ty, czy umarły?“ — zapytał strach. —

— „A dyć umarły, mój panie. Nie mogłem żyć już dłużéj ze strasznego żalu po moim drogim panisku; a konając uprosiłem, żeby mnie chociaż przy was pogrzebali.“ —

Upiór nie dowierzając obszedł go w koło, wietrząc, czy żywéj nie poczuje duszy; ale Jan tak się od stóp do głów trupim owinął całunem, że cuchnął wszędzie niby trup.

— „Kiedyżeś umarł?“

— „W niedzielę.“

— „A kiedyś chowany?“

— „Dzisiaj o południu.“ —

— „A na którą idziesz drogę?“

— „Na tę, co i ty — mój panie! — bo cię na krok nie odstąpię.“ —

— „To chodź ze mną,“ — rzecze nieboszczyk. — „No, idźże przodem.“ —

— „Nie, — mój panie! — idź ty przodem, a ja za tobą, jakom chodził za życia.“ —

Szedł tedy upiór milcząc po schodach ku górze, a Jan za nim krok w krok tuż. Kiedy stanęli u wnijścia, umarły zawołał głośno:

— „Otwórzcie się drzwi!“ — i ogromne drzwi żelazne odwaliły się z łoskotem. —

Minęli ciemną kaplicę, — i znów na rozkaz upiora otwarły się jéj podwoje. — Kiedy pośrodkiem smętarza, wązką przechodzili ścieszką, Jan widział w lewo i w prawo gromady duchów powstające z mogił: jedne klękały przy krzyżach swoich, modląc się z cicha, — drugie siadłszy na mogiłach, jęczały i łkały smutnie, — a upiory i strzygi biegły za smętarz z ludzi krew przez noc ssać. —

Z smętarza zwyczajną drogą kroczył potępieniec ku dworowi, i ominąwszy gumna, wszedł do sadu, a wreszcie między zwaliska lamusu.

— „Otwórzcie się!“ — zawołał umarły: — i ogromny kamień leżący u wnijścia odwa-

lił się na bok, odkrywając zbutwiałe schody piwnicy. — Nieboszczyk przodem, parobek śmiały za nim, weszli do pustego sklepu, krwawém gorejącego światłem.

Na okrąg ścian w kotłach, w garncach mnogich stały złote i srebrne pieniądze, czyszcząc się z grzechów swojego pana we krwawym płomieniu; w pośrodku leżał wielki płaski głaz.

— „Licz pieniądze!“ — ponuro odezwało się straszydło.

— „Licz ty je sam, panie, — jakoś je za życia liczył,“ — odpowiedział Jan, parobczak.

Umarły wtedy począł na płaskim kamieniu liczyć, garnek po garnku, kocieł biorąc po kotle, pieniądze, — od ostatniego poczynając, a na pierwszym kończąc groszu. — Kiedy zaś wszystkie policzył, zawołał na parobczaka:

— „No! czas nam już nazad w drogę,“ — i wyszedł z lochu, — Jan za nim.

— „Zamknij się!“ — zawołał parobek; gdy wyszli na wierzch ziemi; ale na słowa żywego człowieka kamień został nieporuszony, zostawując wolny wchód do skarbów. — I podwoje u kaplicy, i drzwi żelazne u grobu, również otworem zostały, choć Jan zamknąć im się rozkazywał.

Zaledwie podążyli znijść po schodach między trumny, kury ozwały się we dworze, i umarły bezwładny upadł znów na swoje posłanie, — grobowa jasność zgasła na jego twarzy, — a wieko samo zatrzasło się na trumnie. — Śmiały parobczak natenczas, ażeby upiór nie mógł więcéj wstawać, przebódł mu serce osikowém kołem, a trumnę lipowém łykiem dziewięćkroć obwiązał. Potém wyszedłszy z lochu do kaplicy, klęknął przed ółtarzem, dziękując Bogu za łaskę, którą mu okazać raczył.

Gdy zaś dobry był już dzień, poszedłszy z wieścią dobrą do pani, kazał założyć cztery fury, po cztery konie, i przewiózł niemi z lamusu skarb wszystek. Nakoniec za zgodą pani, Jana i gminy całéj tak rozdzielono znajdzione pieniądze: jednę ćwierć dano na kościół; — drugą, wszystkim biednym ludziom, których nieboszczyk krzywdził za żywota; — trzecia część dostała się wdowie pańskiéj, — czwarta, parobku Jankowi.

Tak Jan z chudego pachołka zostawszy bogaczem, zakupił sobie tęgi kawał ziemi, i w pracy, uczciwości, a prostocie świętéj żyje dotąd na Mazurach, — opowiadając, gdy mu się gość zdarzy, jakową sztuką znalazł skarb ukryty. — A jeśliby kto nie wierzył prawdzie téj opowieści, niechże się pójdzie u niego zapytać.

Do F. S., towarzysza szkólnego.

Ułamek.

Późniéj jak listki dwa wiatrem zerwane,
I tu i ówdzie po ziemi miotane,
Szliśmy przez życie młodzieńcze, kwieciste —
Myślą promienne, a sercem ogniste.
Dziś jam młodzieniec, przecież boli życie!
To życie nasze och to dziwne życie!...
Dzieciom na skrzydłach motyla uciekło —
Młodzieńcom, ziemię zamieniło w piekło!
Dziś my znów razem — wspólne nam uczucie
Brzmi duszy piosnką, ale w smutnéj nucie.

* * *

O przyjacielu! powiedz jaka siła
Dwie dusze wiąże przyjaźni łańcuchem —
Dwie myśli razem w jeden świat posyła —
W dwóch piersiach serca zgodnym biją ruchem?!
Jedną piosenką grają uczuć struny —
Tęschno a lubo jak strumyczek brzęczą —
Na dwie wstążeczki gajem rozdzielony; —
Oko dwóch ludzi jedną błyszczy tęczą?!
Ach! to wspomnienie dni razem spędzonych —
A dni niebiańskich — szczęściem ubarwionych.

* * *

Duch mój młodzieńczy zachaczał nadzieje
Na przyjacioły — na serca dziewicze —
Dzisiaj się szatan z méj głupoty śmieje,
Żem senny chwytał za mary zwodnicze.
Dla mnie wspomnienie na dziecinne lata
Jest bo najmilsze — słodkie a rzewliwe,
Późniéj... złośliwość, burzycielka świata —
Rozwiała na proch — dni moje szczęśliwe.

* * *

Miałem ja matkę — a matkę kochaną —
Tak piękną — miłą, swym dzieciom oddaną —
Jam na jéj łonie przeigrał jak dziécie;
Toż ją kochałem — kochałem nad życie —
Ona umarła! Ja nie skamieniałem
Z żalu — boleści w chwili nie skonałem —
Żyję!... ni ziemi, ni ludziom, ni Bogu —
Jak robak w śmieciach — lub brudnym barłogu.
Nie jeden przejdzie — nie widzi — zostawi —
Aż ktoś nadepce — i życia pozbawi.

Tęschna — ponura jak mogiła matki
Jest piosnka moja. A gdzie niegdzie kwiatki



Nobilis polonus.



Tribuni vel centurionis habitus polonus.

Skromniuchne błyszczą w myśli moich kole. —
Nigdy nie wzniosą mnie skrzydła sokole. —
Potęgą ducha nie wzlatam nad nieba —
Po ziemi wolę cichym pełzać krokiem —
Mnie ideałów — bogów już nie trzeba!
Widziałem... Dzisiaj — znikły przed mém okiem. —

H. Feldmanowski.

Pamiętniki Hansa, Szlązaka, z XVI wieku.

(Ciąg dalszy.)

Epoka ówczesna, tak nam mało znana, skreślona jest w pamiętnikach wybitnemi rysami obyczajów. Jeden z mieszczan zaprosił na swoje wesele Hansa. — Zachciało się i Xięciu być uczestnikiem zabawy; ale jego stopień i dostojny tytuł nie dozwalały objawić podobnego życzenia; mieszczanin téż z swojéj strony nie byłby śmiał tak zuchwałych przysłać zaprosin. —

„Hans!“ rzekł Henryk do swego giermka: „weźmiesz mnie z sobą za lokaja!“

„Ale Wasza Xiążęca Mość ubliża swojéj godności!" — „Nie rozprawiaj! potrafię się upić równie gracko jak ostatni z moich pachołków.“

Rzeczywiście poszli razem na biesiadę, a mniemany sługa tak się źle sprawił; tak się skandalicznie upił, że Hans wynieść go musiał! — Xiążę przespawszy dwadzieścia cztery godzin, żałował téj przyjemnéj zabawy; a że tańce na nowo wieczorem rozpocząć się miały, poświęcił dumę urodzenia rozrywce i napisał kilka słów Xiążęcą ręką do nowożeńca, któremu to wproszenie się pochlebiło nieskończenie. Mieszczańska próżność Pana Jourdain nie jest wyłączną cechą wieku Moliera. — Wysoki zaszczyt przyjęty został jak należy: uroczysta deputacya przyszła podziękować ślachetnemu Pa-

nu i odprowadziła go do balowéj sali z wielką okazałością. — Słuchajmy powieści Hansa:

„Był podówczas zwyczaj w Augsburgu, że dwie osoby przyodziane długiemi czerwonemi płaszczami, z gronostajowém podbiciem, otwierały bal i wykonywały bardzo powolny menuet, rodzaj padwana, z tysiącznemi ukłonami i przymileniami. — Skoro dwaj tancerze figurę całą skończyli, dwie inne osoby następowały po nich; za drugą parą szła trzecia, daléj czwarta; aż póki stawało tancerzy. — Jeżeli pierwsza para otwierająca bal, zmienia figurę, następne pary naśladować ją powinny; jeżeli się obraca, wszyscy się obracają; jeżeli się kołysze, kołyszą i inni; jeżeli tancerz tancerkę swoją pocałuje, każdy z tancerzy czyni toż samo. Tancerze, mający otwierać bal, otrzymali dniem wprzódy mnóstwo podarków od młodzieży, mającéj następować po nich i naśladować ich ruchy; te podarki, bardzo wspaniałe, były niejako po rękawiczném zawartéj umowy. — Pierwsza para zobowiązała się pomnażać, ile tylko będzie można, oznaki czułości; a umowa miała być uważaną za żadną, jeżeli liczba pocałunków do ośmiudziesięciu nie dójdzie. Ja sam pierwszy przyłożyłem się z mojéj strony do téj dziwacznéj kontrybucyi; przyniosła ona przeszło dwieście dukatów pierwszym dwom tancerzom; wykręciłem się kilku złotemi; nie jedne wdzięczne i świeże usteczka, na których upragnione pocałowanie złożyłem, nie domyślały się, jaka była cena odebranéj pieszczoty.

„Tymczasem wczorajszy mój sługa rolę swoją odmienił; Pan mój i władca wszedł nagle do sali, okryty orderami i złotem. — Nie wiedziałem o zrobionym przez niego kroku; zdziwiło mnie jego przybycie. — Co widzę! — Wasza Xiążęca Mość tutaj? — zawołałem. — Przychodzę, odpowiedział poważnie, strzedz całości i sławy zebranych kobiet. Znam ja Waszeci nie od dzisiaj, mój wierny giermku; wiem dobrze, żeś tu, według swego zwyczaju, sidła zastawić umyślił; a że ja nieskończenie te kobiety szanuję, biorę je pod swoją opiekę. — Kłaniam uniżenie! — rzekłem: — rozrzewnia mnie do gruntu uczucie natchnione przystojnością i moralnością chrześciańską.

„W istocie, stało przed nami grono przeszło siedmiudziesięciu dam, dziwnie pięknych, postrojonych, zachwycających oczy. Matko przenajświętsza! Co za wieczór! Co za noc! oświecona tysiącem świateł, błyszcząca anielskiemi postaciami, rozjaśniona wdzięcznemi uśmiechami! Wszystkie damy w białych, morowych adamaszkach, dla uczczenia oblubienicy! Co tu złotych łańcuchów, co drogich kamieni kołyszących się na obnażonych szyjach! Strumienie diamentów, mniéj powabne oku, jak śnieżna białość tych kobiet. W śrebrnych naczyniach paliły się wonności; wielka sala, oświecona kandelabrami, podobna była do kościoła, okryta czerwonemi makatami, przeszywanemi złotem i srebrem i ozdobnemi wzorami owoców i kwiatów; rzekłbyś, iż jesteś w raju. — Jedna surma, dwa teorbany, trzy sakebuty, trzy tury (bębenki) i sześć fletów, poruszały w przestrzeni i kierowały w szybkich zwrotach cały ten tłum upojony, błyszczący! Była to radość wybranych! — Nigdy już podobnego nie ujrzę obrazu.

„Wieczorem, odprowadziłem piękną i wesołą panienkę: zalecała ją w moich oczach rzadka piękność, równie jak znakomity majątek. Ojciec dawał jéj w posagu dwie beczki wypełnione złotem. Przyjmował moje grzeczności, jak gdybym był Xięciem Imperyi; a kiedym córkę jego odprowadził, raczył mnie zatrzymać, prosił siedzieć, postawił przedemną wybornego tokaju i piliśmy razem całe dwie godziny; ofiarował mi potém wielką swoją karetę, przy któréj jechało ośmiu paziów z pochodniami, — i tak powróciłem do domu.“

Takie to były rzeczywiste obyczaje wieku, źle oddane przez pisarzy romansów, historykom nie znane.

Dopóki mieszkańcy Augsburscy durzonymi być chcieli, durzył ich Xiążę łaskawie. Przecież ta rezydencya w Augsburgu, ten wiek złoty i dla pana i dla sługi, długo trwać nie mogły. Podejmując długo dostojnego Pana i orszak jego, długo hojnemi obsypując go dary, mieszczanie sięgnęli do swojéj kieszeni, zajrzeli do swojéj szkatuły, znaleźli w jednéj i drugiéj znaczny deficyt, i zaczęli rozmyślać nad niedogodnościami, jakie pociąga za sobą szczęście posiadania u swojego stołu i w swoim domu dostojnego gościa. Przekonali się, że Jasny Pan:

> .... z tych co zdradnie całował i ściskał,
> Żadnego nie wypuścił, żeby co nie zyskał.

I pomyśleli sobie, że dosyć już było téj nauki; że zaszczyt podejmowania i fetowania zna-

komitéj osoby nieco za drogo kosztuje, i że czas już pożegnać mitrowego wydrwigrosza. — Wszystko urwało się na raz Henrykowi. Zbliżył się do stołu gry? Wszyscy gracze znikali: Wiedziano, ile kosztuje opieranie się wyższości jego szczęścia, i wypadkom gry, których był Panem. — Minister skarbu Hans na próżno do wszystkich drzwi kołatał: kupcy, żydzi, lichwiarze, tandeciarze, chełpliwa ślachta, i bojaźliwi kramarze, zacne damy, mniszki i dziewczęta zamiłowane w swoich wdziękach, wszyscy stali się nieczułymi i głuchymi. — Każdy zastawiał się wymówkami, żeby uniknął haraczu, nakładanego przez Henryka i Hansa. Papiery naszych awanturników coraz bardziéj spadały; a dobry Hans, tknięty niedolą swojego księcia, musiał przedać za summę sześćdziesięciu pięciu dukatów, złoty łańcuch, otrzymany w podarku od ojca.

Kogóż teraz nie zadziwi rzadki postępek feudalnego ślachcica? Hans dostarczał chleba łaknącéj wielkości, oddał za niską cenę drogi dla niego upominek, sam został bez grosza; nie zatrzymał dla siebie ani szeląga z owych sześciudziesięciu dukatów. A kiedy przynaglony potrzebą załatania swego obówia, przyszedł z prośbą do Pana o kilka złotych, Pan go wyśmiał, złajał i prośbie odmówił; niechciał nie mówię oddać, ale pożyczyć najmniejszéj cząstki téj summy, którą mu ślachetna ofiara Hansa podała. Nie sądźcie, aby tak krzycząca niewdzięczność odstręczyła wiernego giermka. Pies nie może być zupełniejszą własnością swojego Pana, jak Hans był własnością Henryka. Z Augsburga udano się do Kolonii. Na samym wstępie Xiążę, którego szkatuła do dna wypróżniona była, zaprosił całe miasto na obiad, wyprawił wielką fetę, a w ośm dni potém winien był pięćset dukatów właścicielowi gospody. Antecedensa błędnego suzerena doszły do uszu oberzysty. — Upominał się żywo o zapłatę, i nic nie dostał. Hans użył całéj swéj dyplomatyki i zwłokę wyjednał; upłynęło oznaczonych dni piętnaście, a oberzysta groźniéj jeszcze na plac wystąpił. — Co tu robić? jak sobie w téj okoliczności zaradzić? — Xięciu tak się dobrze powiodło z wielką radą Augsburga, że postanowił poddać się pod drugą próbę przed naczelną radą Kolonii.

Hans odebrał od Pana swego pełnomocnictwo z mieszczanami, żądał tylko maleńkiéj pożyczki tysiąca dukatów na dwa lata i z takiemi procentami, jakichby tylko żądano. — Hans stanął przed szanownném zgromadzeniem: przyjęto go z uszanowaniem, należném tak znakomitemu pełnomocnikowi: słuchano go tém cierpliwiéj z góry, postanowiono jednego nie pożyczyć denara. — Po wymownéj przemowie pełnomocnika, powstali wszyscy z miejsca. — Postanowiono jednomyślnością przydać straż honorową mówcy; straż ta miała go odprowadzić do mieszkania, a tymczasem w uroczystéj naradzie zastanawiać się miano nad żądaniem ślachetnego Xięcia.

(Dokończenie nastąpi.)

Nowiny literackie.

Wyszły w r. b. następujące dzieła:

W Krakowie:

Zamek Ogrodzieniec, powieść historyczna z XIIgo wieku przez XX., nakładem i drukiem Józefa Czecha.

Treść powieści téj jest dosyć zajmująca, chociaż zawiera rzeczy z podobnych prac nam już znane. Zawikłanie jest dość zręczne, oprócz jednego miejsca, gdzie zapomina się autor i każe Małgorzacie Zembocińskiéj opowiadać Bolesławowi rzeczy, które chyba tylko natchniona duchem wieszczym znać mogła. Zdaje się, że to są pierwociny piśmiennictwa, że autor jeszcze się nie wypracował i nie pojął dokładnie zalet powieści. Ztąd wszędzie brak dokładnéj charakterystyki; ani jedna osoba nie jest wykończona; są to tylko skice. Niechaj więc autor kształci się bardziéj w świecie ideałów, niechaj się uczy od mistrzów, jak je tworzą i wykończają, a może nas późniéj bardziéj zadowolni, niż obecną powieścią, która mimo swych wad wznieca tę nadzieję.

W Poznaniu:

Polska wieków średnich, czyli: Joachima Lelewela w dziejach narodowych Polskich postrzeżenia, w dwóch tomach. Nakładem N. Kamieńskiego i Spółki.

Dzieło to, dla miłośników dziejów ojczystych bardzo pożądane, zawiera w sobie nader ważne rzeczy, które autor tém lepiéj objaśnił, iż przydał do swéj pracy mappy geograficzne i rodowody. Późniéj może obszerniéj pomówimy o tém dziele.

Dzieje Rzeczypospolitéj Polskiéj z pierwszéj połowy szesnastego wieku przez J. Moraczewskiego. Tom IV.

W tym dalszym ciągu swego dzieła doprowadził autor historyą Polski aż do zgonu Zygmunta Augusta w r. 1572.

Rozprawy tyczące się pierwotnych dziejów Polski przez S. Nakładem i drukiem N. Kamieńskiego i Spółki.

Jest to zbiór różnych rozpraw, które się tyczą pierwotnych dziejów Polski; najważniejsze są: „Uwagi nad panowaniem Władysława Hermana ze wzglę-

dem na Słowiańszczyznę“, które drugą połowę dzieła zajmują.

W Lipsku:

Nowe opowiadanie Johna of Ducalp. Nakładem księgarni zagranicznéj.

W kraju i za granicą, powieść przez Wacława Mańkowskiego. Dwa tomy. Drukiem księgarni zagranicznéj.

Der zweifache Panslawismus. Die gegenwärtige Lage der slawischen Völker gegenüber von Rußland, von Cyprien Robert, mit Anmerkungen von Dr. J. P. Jordan. In der slawischen Buchhandlung.

Autorem téj broszury jest Cyprian Robert, następca Mickiewicza w professurze języka i literatury Słowiańskiéj przy College de France w Paryżu.

W Berlinie:

Czechia i Lechowie przy końcu pierwszéj połowy XIXgo stulecia przez Edmunda Chojeckiego. Tom drugi. Drukiem F. Schneidera i Spółki.

Akta i czynności sądowe, tyczące się processu Polaków oskarzonych w r. 1847ym o zbrodnią stanu. Zeszyt Iszy. Nakładem M. Simiona w Berlinie.

Dzieło to wychodzić będzie w zeszytach trzyarkuszowych, w cenie 1go złotego Polskiego za zeszyt.

Wydanie pierwszych zeszytów nastąpi tak spiesznie, że się wkrótce zrówna z postępem czynności sądowych i że dalsze zeszyty ogłaszać będą najnowszą wiadomość we względzie rzeczonéj sprawy. (*)

(*) Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie; w Lesznie i Gnieźnie księgarnie Ernesta Günthera.

Text do *Nru.* 2.

Od Puław i Końskowoli.

1. Jedzie Jasio z wojenki,
Koło niego las cienki —
I przypina sobie — i przypina sobie
Szabeleczkę do boku.

2. Szabeleczki nie przypiął
Obejrzał się na swój dom
I serdecznie westchnął — i rzewnie zapłakał,
Aż konik pod nim zadrzał.
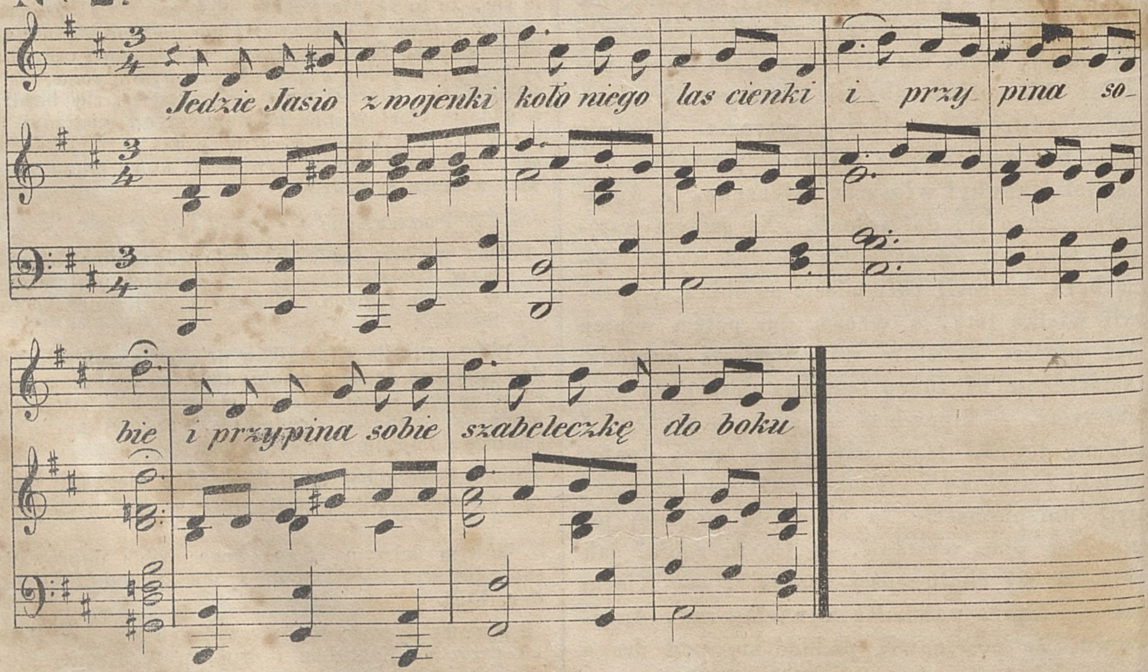
3. Da moja matulu,
Czyli mnie nie znacie?
Na tym wronym koniu — przy tym nowym domu,
Co mnie nie przywitacie.

4. Witam cię mój synu,
Co ci Bóg przyczynił
I ten tutejszy pan — i ten tutejszy pan,
Co cię na wojnę wydał.

5. Jakci mnie chwytali
I jak mnie złapali,
Zdarli do koszuli — i w dyby okuli,
Jeszcze za mną wartę dali.

6. A ta warta stojała
Od wieczora do rana,
Jak ci Pan Bóg dzień dał — ja dzionek przywitał,
To mnie na wojnę wydał.

N° 2.



Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)